Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. No. 12. Leszno, dnia 23. Września 1837.



Dyana Sohna. (Z wystawy poznańskiéj.)

O wystawie poznańskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Kilka rodzajowych obrazów jeszcze mniéj nas zadowolniły, n. p. Förstera: Saskie chłopy w powrocie z miasteczka. Pindlera saska dziewczynka źle jest malowaną, ale tak miluchna z twarzy i z wyrazu oczu, że każdy nad nią się zatrzymał. Zrobił kopią tego obrazu, która się wcale nie podobała, bo zamiast dowcipnych oczu uprzejméj góralki, dał jéj namiętne oczy południa, jakie zdobią silny, lecz może zbyt przesadzony obraz P. Tischbeina i Włoszkę z dziecięciem na terasie. W Eybla dziewce z Romainville, ujrzysz poczynający wpływ francuzkiéj szkoły. Sitarka Schramma nieszczęśliwym jest pomysłem: gdyż zabawy, które przystoją dzieciom, śmieszne są u starszych. Zamiast tych kompozycyj, lepiéj było kopiować dobre wzory, jak Féj z Dysseldorfu.

Piękny krajobraz Winklera należy do najlepszych wystawy: nad drzewiatą okolicą wznosi się gniazdo

bociana i z prostego pomysłu cudowny zrobił obraz dzielny malarz Dysseldorfu.

Przechodzim do ostatniéj, czyli trzeciéj sali.

Na pierwszy rzut oka poznamy, że dobór obrazów, jest równie szczęśliwy, jak w dwóch poprzednich. Dzięki starannym zachodom i dobremu smakowi dyrekcyi, że nadesłane obrazy tak zgodnie rozporządziła po salach. Trudnoby powiedzieć, która z nich jest piękniéjszą: każda równie widzów ucieszy i zaspokoi. Szczególniéj się zajęło ich układem dwóch panów, którzy tak silny biorą udział do sztuk pięknych, że nieszczędzili mozolnéj pracy ciągłego dobierania i przestawiania obrazów, aby pożądane otrzymać effekta. Jeden z nich, połączony węzłami koleżeńskiéj przyjaźni z pierwszymi malarzami dysseldorfskiéj szkoły, mocno czuje wysokie powołanie obecnéj sztuki i cenić umie te dzieła, które wypadki historyczne w idealnych przedstawiają kształtach: uprzejmość, z jaką trafnych swych spostrzeżeń widzom udzielał, ułatwiła nam lepsze obeznanie ztémi arcydziełami. Drugi z tych panów, za młodu już w kunsztach zamiłowany, pod rozmaitemi kształty pielęgnować je umie. Kilkuby się obdzieliło talentami, które on połączył; zazdrościć mu wypada tyle szczodrych darów natury, a niemniéj tego uczucia wewnętrznego zadowolnienia, gdy każdy pomysł swój w potrójną przywdziewać może szatę: rytmu, dźwięku i koloru.

W trzeciéj sali nowy ujrzeliśmy przedmiot, jedyną rzeźbę nadesłaną na wystawę. Jest to popiersie N. P. zrobione przez p. Oskara Sosnowskiego. Praca ta równie nadzwyczajném podobieństwem się zaleca, jak i doskonałością wykonania. Delikatne dłóto to wszystko zręcznie przedstawia, coby najwierniéjszy pendzel ledwo w mnogich odcieniach wyrazić zdołał. Szczerość zbyt trudnym, zbyt wyłącznym jest kunsztem, abyśmy je mogli na jednéj kłaść szali z malarstwem. Szczęśliwi są synowie natury, którzy umieją jéj piękność w każdéj postawie wznowić, i ułamkiem ciała ludzkiego zadziwiać! Oni to wyłącznie i wiecznie idealizują człowieka, a nawet zaniechawszy żyjącego jego wyrazu, świetnego oka, którego odstępują malarstwu, umieją nadać swym kształtom wyraz nadludzki. W téj śmiałości snycerz oka wyrazem, blaskiem kolorów, i całém świetném otoczeniem pogardza, a jednak cudownie ducha nam wyraża; najwyższa dzielność i chluba téj sztuki! Miło nam więc było, powitać rodaka w téj udzielnéj sferze. Znajomy nam już był z płaskorzeźby na berlińskiéj wystawie: wyrażała ona trzech głównych berlińskich rzeźbiarzy, Schadowa, Raucha i Tiecka; darował ich był autor akademii sztuk pięknych: genialny wyraz trzech mistrzów przebijał przez biały marmur. Popiersie Naj. Pana doskonalszą jest pracą, i szlachetne jego przeznaczenie na dobro ubogich uczniów akademii zdobi zamożnego zwolennika sztuki. Dziwną jest rzeczą, że p. Oskar Sosnowski sam przez własną pracę doszedł do téj zręczności, którą w jego dziełach widzimy. Nigdy pono nie pracował u snycerzy. Wrodzone uczucie piękności natury i niezmordowana praca, jedyną jego były pomocą. Już w pierwszéj młodości, spędzał swe chwile na wykonaniu figur z polnych kamieni rodzinnego Wołynia. Od roku dopiero w berlińskiéj akademii uczy się snycerstwa, na szczupłéj liczbie wzorów w niéj wystawionych. Do najlepszych dzieł jego należy płaskorzeźba, na zmarłego w kwiecie wieku młodzieńca. Opisano mi ją w sposób następny. Pnie się młodzian po górze do świątyni chwały; ale w tém miecz, na którym się wspierał, kruszy się pod jego dłonią, a Staturn zawisny przeważną ręką porywa młodziana, drugą zaś mak rzuca nad otwarty grobowiec. Nad tą grupą unosi się w powietrzu świetny anioł, czyli geniusz młodzieńca. Dosyć jest na tem opisie, aby wyższy talent snycerza okazać! życzymy, aby w tak świetnie rozpoczętym postępował zawodzie, i wielu współzawodników znalazł w kraju: gdyż Polska jeszcze wygląda swego Thorwaldsena.

Nie wspomniałem o pracach na drzewie robionych przez Holendra z pod Strzyżewa, albowiem raczéj jeszcze za zabawki niż za pierwiastki talentu poczytywać je można. Kilka przyozdobień p. Wolkowica równie dla smaku, jak dla prostoty pochwalić należy.

W świetnéj trzeciéj sali wystawy widzimy na przodzie jeszcze jeden obraz Sohna: Dianę z nimfami w kąpieli. Wystawia malarz tę chwilę, gdy bogini czystości spostrzegła Akteona i w leśnego zamienia go zwierza, ale Akteon gdzieś poza ramami pozostał. Każdy widz przyznał to za największą, ale nie jedyną wadę obrazu. Czemuż tak sążnistym wymiarem zakreślać wdzięki bogini? Barczystość i wyniosłość ciała, więcéjby Endymionowi przystała, niż jego świetnéj kochance. Obok urodnych towarzyszek niech się córka Latony jedynie większym urokiem odznacza. A przytém niemasz w tym obrazie najtreściwszéj jego piękności. Cóż grecki mytus wystawia? obrażoną wstydliwość bogini. Zadaniem było malarza, pojednać postrach skromnéj dziewicy z gniewem obrażonéj niebianki; zadania zbyt trudnego Sohn nie wykonał w obrazie. Widzę gniew na twarzy Diany; lecz nie widzę rumieńca przerażonéj skromności; rumieniec ten nie świeci na iéj licach i na pół obnażoném ciele. A po téj nimfie, tak pięknéj, w złotéj sukni, przyklękłéj przed Dianą, jakżeż daremnie go szukać? Ten wdzięk tak właściwy dziewicom jasnowłosym, że rumieniec, jak ogień latający przebiega po ich śnieżystém czole, szyi i ramionach; ten wdzięk, co największą ich piękność stanowi, jakżeż uszedł oka badawczego malarza? Jakżeż śmiał pozbawiać boginią tego blasku, który córy téj ziemi boskim odziewa urokiem? jakąż pięknością zdołał wynagrodzić rumieniec? Wszakże czują tę wysoką godność szlachetnego znamienia nie tylko sami poeci, filozofowie nawet dzielą ród ludzki na dwa wielkie oddziały; na tych, co się rumienią i na tych ludzi ciemnopłcistych, którzy rumieńca nie znają. Widzimy w tym naturalnym podziale całą godność tego kwiatu młodości, który zdobi młodziany, dziewice i do późnych lat pozostaje na czystych licach matron szanownych. W obrazie Sohna dziewica ciemnowłosa, czerwoną szatą okryta i tuląca się do niéj, jedynie widocznie wstydem płonie. Trzecia zaś, skryta za Dianą, i nawpół w wodzie stojąca inkarnacyą ma raczéj młodzieńczą, aniżeli dziewicą. Obraz ten mém zdaniem porównany być nie może z Eleonorą, jakkolwiek go niektórzy sędziowie przenoszą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Cud Sewilski.

Legenda, czyli opis obrazu Murillosa.

Już w pełni xiężyc dziewiąty świeci,
Jak Maur Sewillę obiegł do koła,
A jeszcze męstwa hiszpańskich dzieci
Swém męstwem przemódz nie zdoła.

Ale od Maura gorszy, od zdrady,
Gorszy niż zatrute strzały,
Z okiem zbłąkaném głód wyschły, blady,
Wstąpił na Sewilskie wały.

I co dzień nowym uderzone zgonem
Wiernego kraju obrońce,
Co dzień Sewilla wstające słońce
Grobowym zwiastuje zgonem.

Tam kędy nęci woń cytrynowa,
Tam kędy kwitną granaty,
Przy końcu miasta, poważny laty,
W pośród drzew klasztór się chowa.

Z niego codziennie pobożność i cnota
Niesie nieszczęsnym zasiłki obficie;
W nim to codziennie wdowa i sierota
Znajduje pokój i życie.

Wtymto cnotami wsławionym klasztorze
Zarządzał braćmi mąż w cnoty bogaty,
A choć późnemi obarczony laty,
Dni trawił w ciężkiéj pokorze.

I było nawet mniemanie u ludu,
Że Bóg go świętym palcem swym naznaczył,
I między świętych policzyć go raczył,
Dał mu nawet władzę cudu.

Lecz on nie użył cudów do téj pory,
Nigdy on nieba nie śmiał błagać o nie,
Cudami tylko cnoty i pokory
Znany był dotąd w zakonie.

I teraz kiedy głód Sewillę ciśnie,
Gdy każda sroższe męki niesie chwila,
Mąż Święty, skoro słońce ranne błyśnie,
Nędznych pokarmem zasila.

Lecz już wyczerpał zapasy ostatnie,
Wypróżnił dawniéj zamożne szpichlerze,
I wkrótce życie i swoje i bratnie
Odda głodowi w ofierze.

W ten dzień okrutny, gdy błądzi po mieście,
Nagle go smutny głos nędzy doleci,
Słyszy w tym domu i jęki niewieście,
I kwilenie drobnych dzieci.

Wchodzi do niego, znajduje rodzinę
Głodem rzuconą na boleści łoże,
Widzi, jak dziecie ssie piersi matczyne,
A nic z nich wyssać nie może.

I słyszy jego jęki niemowlęce,
I starszych dzieci przeraźliwe jęki,
Widzi najstarsze, wpośród głodu męki,
Gryzące własne swe ręce.

Ten widok straszny świętego kapłana
Grotem rozpaczy przeszywa,
Wznosi wzrok w górę, pada na kolana,
I modłami nieba wzywa.

I gdy się modli słowami świętemi,
Dom cały światłość niebieska oblewa,
Obłok złocisty spuszcza się ku ziemi,
Świętego ojca odziewa.

W górze aniołów najświetniéjszych grono
Jak gdyby mleczna droga niebios świeci;
I tym widokiem przerażone dzieci,
Na matki tulą się łono.

Każdy się z góry wolnym spuszcza lotem,
I niesie darów boskich pełne dłonie;
I skroń każdego błyszczy światłem złotém,
A oddech wylewa wonie.

Ci krain rajskich mieszkańcy szczęśliwi,
Dom napełniają i pracą i ruchem,
Jeden z nich, lekkim a wonnym podmuchem
Płomień wśród ogniska żywi.

Drugi zwinąwszy skrzydełka z promieni,
Drzewek cedrowych dźwiga suche wiązki,
A tamten znosi palmowe gałązki,
Wyschłe na podżar płomieni.

Ten, co ma skrzydła jakby pióra pawia,
Uplotem rajskich kwiatów przepasany,
Czystą jak kryształ wodę leje w dzbany,
I przy ognisku ją stawia.

Tu jeden ptaszki różnopiore niesie,
A tu dwóch mniéjszych usiadłszy na ziemi
Skubią te ptaszki z skrzydły złocistemi,
Schwytane w Edeńskim lesie.

Widzisz tamtego jasnego anioła,
On innych w wdzięcznéj przewyższa urodzie,
I z kwiatów w rajskim zerwanych ogrodzie
Miód złoty sączy jak pszczoła.

Ci dwaj w różanne odziani obłoki,
Z koszów owoce wybierając klęczą,
Ten siedmiofarbną przepasany tęczą
W czary wyciska z nich soki.

A ów, któremu śnieżne skrzydła rosną,
Z powłok owoce obnaża soczyste,
Owoce z krajów, które wieczną wiosną
Rozświecają słońca czyste.

Każdy z aniołów do pracy się bierze,
Chętnie się ziemską zajmuje posługą,
Tak, że stawiają za chwilę niedługą
Obfitą na stół wieczerzę.

Potem frunąwszy skrzydłami żartkiemi
Wzlatują jasnym oblani obłokiem,
Wszyscy przytomni zadziwioném okiem
W górę sięgają za niemi.

I wktótce potém każde z małych dziatek
Ciekawie do tych przybliża się stołów,
Dziwi je taki pokarmów dostatek
Przyprawnych ręką aniołów,

Ale gdzież mąż ten, który prośbą zdołał,
Cud ten wybłagać u Boga litości?
Gdzież jest ten, który tych niebieskich gości*
W ziemskie podwoje przywołał.

Nie ma go nigdzie, gdzieś uszedł, gdzieś zginął,
I obłok złoty, który go zatopił,
Nagle jak lotna para się rozpłynął,
Dom rosą złocistą skropił?

Lecz inny obłok w téj samej godzinie
Na skrzydłach wiatrów od ziemi umykał
I coraz rzedniał, malał, już, już znikał
I znikł w obłocznéj krainie *)

Głuchy by od Szamotuł.

Przysłowie to, wziąwszy wedle ustnego podania a) początek z czasów pierwiastkowego braci czeskich pobytu, w mieście Szamotułach, b) minęło może już temu blisko trzy wieki, dochowało się wiernie do dni teraźniéjszych, i stokroć jeszcze w niektórych wielkopolskich okolicach, północnych zwłaszcza, wspomnianém bywa.

*) *Wiersz ten jest wytłómaczeniem obrazu Murillosa znajdującego się w galeryi Xcia Dalmacyi (marszałka Soulta) w Paryżu.* *A. E. K.* Rok 1830.

a) Wiadomość o przysłowiu, »głuchy by od Szamotuł,» powziąłem z ust szanownego stryja mego, który żyjąc, z ś. p. N. Kozłowskim, proboszczem kollegiaty szamotulskiéj, zmarłym przed pięciu laty, w przyjaźni, po kilka razy je od tegoż objaśnioném słyszał.

b) Szamotuły, miasto dziś powiatowe w W. X. Poznańskiem, z zamkiem starożytnym i wspaniałą téjże cechy kollegiatą: gniazdo sławnéj wielkopolskiéj fa-



Polowania w Chinach.
(Rysunki podług drzeworytów chińskich, dwanaście wieków starych.)

Główną zaś, jak owe głosi podanie, do istnienia powyższego przysłowia sposobność, dał Jan Szamotulski, c) i to przy wydarzeniu następującym:

W czasach, kiedy bracia czescy w Szamotułach, licząc już pomiędzy okoliczną szlachtą niemało dla nowéj nauki zwolenników, pierwsze w tutéjszéj kollegiacie d) odprawiali nabożeństwa, nowość zatém, widzenia ciekawość, sprowadziła dnia jednego miéjscowych kilku mieszczan Katolików, na Dyssydentów obrządek. Miana była właśnie co téj chwili nauka. Przybyli dopiero co Katolicy z początku pilnie swą ku kazalnicy zwrócili uwagę; lecz po małéj chwili, jedni z nich, strasznie ziewać, drudzy po trochu zaś drzemać zaczęli. Szamotulski, przytomnym będąc téj scenie, uniesiony gniewem z podobnéj oziębłości, rzekł do tychże mieszczan, wychodząc z kościoła: „wyście głusi!“

Ztądto podobno, Szamotuły i jego okolice, głuchemi nazwane zostały, które z czasem poszły w przysłowie, a dotąd jeszcze, gdy kto w wyżéj pomnionych okolicach, drzemiąc, jakiéj słucha nauki, powtarzać się tamże zwykło: „głuchy by od Szamotuł!“ *

Polowania w Chinach.

Chcąc dać wyobrażenie o wielkich polowaniach królewskich w tym kraju, podajemy oryginalne dwie chińskie ryciny, wyjęte z księgi Eulh-ya, jednéj z najstarożytniéjszych dzieł tego narodu. Księga ta skreśla wiadomości, które Chińczykowie od XV. do X. wieku przed narodzeniem Chrystusa posiadali, a jakkolwiek mnogie drzeworyty, które ją ozdobiają, sięgają tylko VI. wieku naszéj ery; zaprzeczyć niemożem, że są zrobione w duchu najodleglejszéj starożytności, do któréj się ściągają dzieje rodu ludzkiego; widzimy, że w każdym niemal kraju, wyłączywszy Egipt, niezmierne były lasy, od dzikiego zwierza zaludnione, poprzedziły rozkrzewienia się naszego rodzaju. Znane nam są skreślone lasy Gallii i Germanii, tudzież Ameryki. Poemata indyjskie napełnione są opisami wielkich lasów, za schronienie służących pobożnym pustelnikom, których spokojne rozmyślania kłóciły wielkie polowania królewskie. Również widzimy w dziejach początków państwa chińskiego, że teraźniejsze Chińczyki przybywszy z północy,

milii Szamotulskich, w XVI. wieku wspólna własność Szamotulskich i Górków.

c) Sądzę, iż byłto podług wszelkiego podobieństwa, jak p. J. Łukaszewicz opisuje w dziele o kościołach braci czeskich w dawnéj Wielkiéjpolsce, Jan Świdwa Szamotulski, dziedzic połowy Szamotuł, i gorliwy braci czeskich wyznawca, których do owego miasta, około roku 1458. Andrzéj Górka, generał wielkopolski, drugiéj połowy Szamotuł dziedzic wprowadził.

d) Wspomina daléj o braciach czeskich autor, iż tenże Jan Swidwa Szamotulski, w roku 1574 oddał z wszelkiemi funduszami braciom czeskim kollegiatę. Na naleganie jednakże Gostyńskiego, wiernego Katolika, a także w miéjsce Górków, połowy Szamotuł dziedzica, dozwolił Szamotulski także Katolikom w kollegiacie odprawiać nabożeństwo. Kościół ten wszelako bracia czescy nie długo posiadali, gdyż go im między latami 1590 a 1600 odebrano.



Powrót myśliwskiéj zgrai.

wycinali i karczowali niezmierne lasy, aby rolę przysposobić do uprawy i wydrzeć tę ziemię pierwszym jéj mieszkańcom, nazywanym Y czyli nosicielami wielkich łuków, albo téż milat-seu, czyli synami roli płonnéj, których to potomki dotąd jeszcze zupełnie w dzikim stanie w dostępnych górach Chin wschodnich, blisko Tybetu, przemieszkują. Historya świadczy o odrębnym bycie tego ludu, który od przeszło 5000 lat zawsze potężnego państwa chińskiego istnieje, ciągle słabnąc na siłach z powiększaniem przychodni, a jednak niechcąc przyjąć narzuconego jarzma; tyle tu dokazać mogła nienawiść dwóch ludów, zupełnie sobie obcych, a o jednę walczących ziemię.

Polowania należały do najulubieńszych zabaw cesarskich: celem ich pierwotnym było zabezpieczenie kraju od szkodliwego zwierza, lecz późniéj zamieniły się w zbytkowe zabawy. Cesarz Tai kang, stracił z tego powodu koronę. Polowania te odbywano cztery razy do roku; lud był zaciągiem do nich obowiązany. Wiosną i latem strzeżono tylko leśnego zwierza, jesienią i zimą naganiano i ubijano mnóstwo zwierzyny.

Załączone dwa rysunki przedstawiają także letnie rozpędzanie zwierzyny, i powrót z zimowego polowania. Lecz nietylko Chińczyki smakowali w myślistwie, Xenofon opowiada w Cyropedyi, że Babilończyki tak namiętnymi byli myśliwcami, że nietylko po swych komnatach malowali polowania, ale i na swych sukniach je wyszywali. Królowie zaś dla swych zabaw dostatecznie nie znajdując zwierzyny po lasach, pozakładali wielkie zwierzyńce, w których zamykano lwy, dziki, lamparty i jelenie.

O zgonie Stefana Batorego.

Półtrzecia już upłynęło wieku od czasu, jak śmierć wyrwała narodowi naszemu najdzielniéjszego z królów Stefana Batorego, i to w chwili bardzo stanowczéj, w któréj tenże zamierzał wykonać plany, tyczące się wewnętrznego urządzenia kraju; w chwili, w któréj oburzenie na sprawiedliwą surowość królewską, do najwyższego dochodziło stopnia. Łatwo pojąć, że tak nagła śmierć króla, w podobnych okolicznościach zwróciła uwagę wszystkich na siebie, i była przyczyną pogłoski o otruciu króla, któréj prawdziwość historya, dotychczas wprost zaprzeczyć nieśmiała. Na familii Zborowskich najmocniéj ciężyło podejrzenie wykonania ohydnego czynu, który, gdyby był rzeczywistym, zajmowałby w historyi naszéj, tém przykrzejsze dla Polaka miéjsce, że chociaż jedyny w swoim rodzaju, niedozwalałby się nam dłużéj szczycić tą historyczną prawdą, że Polak nigdy swéj ręki krwią swoich królów niezmazał. Znajdujące się w berlińskiéj królewskiéj bibliotece pisma nadwornych króla

lekarzy Bucceli i Simona Simoniusa, *) tudzież Chiakora Węgra przy dworze bawiącego, dały mi sposobność do bliższych w tym przedmiocie poszukiwań, które niepowinny być obojętnemi. Sprawozdania obu lekarzy królewskich, są sobie powiększéj części wprost przeciwne, i z tego powodu było potrzebnem, dla dojścia prawdy, poznać bliżéj ich osobisty charakter. Buccella, Włoch rodem, dawniéjszym był króla lekarzem, bo jeszcze przed wstąpieniem Batorego na tron, znajdował się na jego dworze. Słuchał nauk lekarskich w szkołach włoskich, i tamże przez 17 lat praktykując, zjednał sobie wziętość dobrego lekarza. W jego sprawozdaniach, wszędzie się praktyczny talent i rozsądek naturalny przebija, jednakże dwa te zaiste wielkie w lekarzu przymioty, nieochroniły go od przesądów wieku: jakoż spuszczając się za bardzo na nieomylność zdań Galena, nieraz na złą wpadł drogę. Zdobiła go jeszcze i trzecia, ludzi jego zawodu bardzo potrzebna cnota, skromność, albo przynajmniéj brak zarozumiałości, czego najlepszym jest dowodem, iż na cztery lata przed śmiercią Stefana zażądał przydania sobie kollegi, niechcąc sam jeden brać na siebie odpowiedzialności za zdrowie króla. W sprawozdaniach swoich zawsze się odwołuje na wiarogodnych świadków, na księgi aptekarskie królewskie i t. p. Od współczesnych, jak się zdaje, był bardziéj niż Simoniusz lubionym.

Simonius przywołany cztery lata przed śmiercią króla, na żądanie Buccelli, również był Włochem z rodu. Dla prześladowań religijnych opuścił kraj ojczysty, i udał się do Szwajcaryi i Niemiec, gdzie w Genewie, Heidelbergu i Lipsku, częścią filozofii, częścią sztuki lekarskiéj nauczał. Sądząc z jego sprawozdań musiał być nadzwyczajnie złośliwym człowiekiem, albowiem gdzie tylko może, uszczypliwie Buccellę i insze króla otaczające osoby wyśmiewa i potępia. W opisywaniu zdarzeń najczęściéj się do swéj własnéj tylko wiarogodności odwołuje. Pisma jego pełne subtelnych rozumowań, okazują, że był bardziéj teoretycznie w duchu swego wieku wykształconym, aniżeli biegłym w zawodzie praktycznym lekarskim. Gdziekolwiek więc Buccella z Simoniusem w opisach swoich zgadzać się nie będą, pójdę zawsze za zdaniem pierwszego, uważając tę drogę za najpewniéjszą.

Stefan Batory był silnéj i pięknéj budowy ciała, wzrostu średniego, cery zdrowéj, włosów cokolwiek rudawych. Puls mocny, ale ani zbyt powolny, ani zbyt prędki. Apetyt miał zawsze wyborny, był jednakże w jedzeniu i piciu umiarkowanym. Wesołość, bystrość i dojrzałość w rozmyślaniu, była odznaczającemi przymiotami jego umysłu. Chwilowa i przemijająca popędliwość, ustępowała zawsze, wrodzonemu już uczuciu dobroci i łaskawości. Był dalekim od namiętności gwałtownych, i wolnym od przesądów, chyba, że zechcemy tak nazwać wstręt do wypełnienia rad lekarskich, właściwy ludziom, używającym przez długi czas zdrowia, którzy zazwyczaj w choroby wierzyć przestają, a od nich nawiedzeni od natury wszystkiego się spodziewają, i niechętnie od nawykłego sposobu życia odstępują. Polowanie było jego najulubieńszą zabawą, istotnie dla zdrowia jego potrzebną: jeżeli go narady sejmowe, na czas jaki wstrzymywały, stawał się smutnym i ociężałym. W czasie pobytu swego w ziemi siedmiogrodzkiéj, używał dużo ściągających kąpieli, (Balnea adstringentia,) które czynność skóry jego tak nadwyrężyły, że w najmocniéjsze upały nigdy się niepocił. Życie czynne i umiarkowane, utrzymywało go przez długi czas przy zdrowiu. Wywichnięcie lewéj nogi, i ukąszenie téjże przez psa, przerwało je nakoniec: rany albowiem ukąszeniem zadane, goić się niechciały, a ich powierzchnia, zamieniła się w wrzód, który codziennie znaczną ilość materyi oddzielał, i który przez czucie świerzbienia i inne boleśne dolegliwości, nieznośnym się dla Stefana stawał. To spowodowało go (działo się to jeszcze w czasie jego pobytu w siedmiogrodzkiéj ziemi) do wezwania chirurgów niemieckich, którzy niezważając zupełnie na szkodliwe skutki, jakie w organizmie sprawić może zniesienie upływu ropy, do którego natura już była przyzwyczajoną, wszelkiemi sposobami o zagojenie wrzodu się starali, co im się téż istotnie na własne króla nieszczęście udało; bo w trzy miesiące potém, wpadł w chorobę, którą lekarze wprawdzie nie w prost za katalepsyą, ale przynajmniéj za coś bardzo do niéj podobnego ogłosili, dając za przyczynę mocne uderzenie krwi do głowy. Przy dworze cesarskim rozeszła się w ówczas wieść, że Stefan apoplexyi dostał. Jakoż zdaje się, że owa katalepsya, z powodu uderzenia krwi do głowy, niczém inném niebyła; lekarz bowiem Blandrata uleczył Stefana z téj choroby, puszczeniem znacznéj ilości krwi, i przywróceniem odpływu z zagojonego wrzodu. Katalepsyi istotnéj, która jak wiadomo, jest chorobą chroniczną nerwową, nikt by puszczeniem krwi, a tém mniéj w tak krótkim czasie wyleczyć niezdołał.

*) 1. Stephani primi P, R. Magnique Lithuanorum Ducis etc. Sanitas, Vita Medica, Aegritudo, Mors a Simone Simonio M. D. atque intimo Majestatis Jllius Medico. Jussu et voluntate Jllustrissimi D. Alberti Radziwili Ducis in Olicka et Nieświeź M. D. L. supremi Marschalii exposit. scriptoque comprehensa. Nyssae typis Andreae Reinheckelii 1587.

2. Refutatio scripti Simonis Simonii Lucensis cui titulum fecit A. Stephani primi etc. Autore Nicolao Buccella olim ejusdem Stephani Regis, nunc vero Serenissimi Sigismundi R. P. etc. designati R. Sueciae Archiatro. Cracoviae, typis Alexii Rodecii 1588.

3. Epistolae Generosi Georgii Chiakor Secretari Ungari, de Morbo et obitu Serenissimi Magni Stephani R. P. ad magnificum Wolfgangum Kovaciovium, supremum Regni Transylvaniae Cancelarium, cum ejusdem Examine, quae ex Ungarico in Latinum sermonem nuper quam fidelissime sunt conversae, Claudiopoli.

4. Amadei Curtii Medici Ticinensis responsum ad epistolam cujusdam Georgii Chiakor et ad Maledicum Examen Anonymi epistolae eidem adjunctum A. 1587.

Po przejściu pierwszego niebezpieczeństwa, kazał Blandrata wstrzymać się królowi zupełnie od wina. Z przywróceniem wrzodu wróciły i dawne dolegliwości, które Stefana niemniéj jak wprzódy niecierpliwiły, i z tego powodu przywołał do siebie Buccellę, ktory zważając, że upływu ropy, bez nowego narażenia życia na niebezpieczeństwo wstrzymać nie można, zagoił wprawdzie wrzód, ale za zgodą z Blandratą zrobił fontanellę na nodze prawéj. Dla przywrócenia czynności skóry, kazał się Buccella Stefanowi często kąpać w letniéj wodzie, a po kąpieli, trzeć skórę flanelą, aż do potu. Ruchu nieodzownie królowi do zdrowia potrzebnego zalecać niepotrzebował, bo lubiąc bardzo polowanie dosyć go miał. Od czasu do czasu, dawał Buccella lekko rozwalniające środki, a to mianowicie w ówczas, kiedy fontanella mniéj, niż zwyczajnie oddzielała. Dosyć już było dla zachowania zdrowia Stefana, na tych istotnie rozsądnych radach, ale nieszczęśliwy Galenizm sprowadził i tu Buccellę z drogi rozsądku, uważając albowiem Theriak (lekarstwo z opium i innych rozpalających rzeczy złożone) za środek głowę wzmacniający, wszystkie sekrecye i exkrecye, zarówno pobudzający, i złe części organizmu wydzielający, dawał go królowi w czasie zimy codziennie. Niechcę mówić, aby dawanie Theriaku, miało być przyczyną ostatniéj króla choroby, przez cztery albowiem lata przed śmiercią swoją, zaprzestał król zażywania go, za poradą Simoniusza, co jednakże temu żadnego zaszczytu nierobi, bo natomiast pozwolił, i owszem prawie zachęcał go do picia wina, które mu tyleż co i Theriak szkodzić mogło; nie dla racyonalnych powodów więc, ale jedynie przez złośliwość swoję i chęć sprzeciwiania się Buccelli, odradził królowi zażywania Theriaku (dryakwi).

Pomimo tego cieszył się król, przez cały przeciąg panowania swego w Polsce, jak najlepszém zdrowiem aż do roku 1586. W ostatnich dniach Listopada t. r. udał się król do Grodna, swojéj najulubieńszéj siedziby. Czas był nadzwyczajnie mroźny, co jednakże króla od polowania wstrzymać niepotrafiło, i owszem (jeżeli wiarę dać można Symoniusowi, przeciwnego zdania jest Buccella) zwykł się był na te swoje leśne wyprawy dosyć lekko ubrany wybierać. Za powrotem z jednego z takich polowań, uczuł król nadzwyczajną ociężałość, w połączeniu z dusznością małą na piersiach i z bardzo przykrém uczuciem, podobném do ukąszeń pcheł. Noc przepędził bardzo niespokojnie. Za świadectwem Symoniusza, który podówczas sam jeden był przy boku królewskim, (Buccella albowiem za pozwoleniem Stefana na wieś wyjechał,) miał król dosyć znaczną gorączkę, ktorą puls przyspieszony i owa niespokojność zdradzały.

Nazajutrz z rana t. j. dnia 7. Grudnia duszność z piersi znikła, została się jednakże wielka ociężałość, na którą bynajmniéj niezważając udał się król do kościoła na nabożeństwo, bo był to właśnie dzień świętego Dominika. W czasie obiadu jadł nadzwyczaj mało, nie tak jednakże dla braku apetytu, jak raczéj pamiętając na przestrogi Buccelli, który mu odradzał jeść w ówczas, kiedy się czuł słabym.

Za radą jednakże Symoniusza, wypił dwa kielichy wina węgierskiego, spodziewając się, bo mu to Symoniusz obiecywał, że potém spokojnie spać będzie. Wkrótce potem udał się na spoczynek. Ale zamiast obiecanego snu, uczuł, jak się spodziewać należało, gwałtowną niespokojność i mocne w głowie gorąco, zapewnie z powodu bicia krwi do téjże. Chcąc się więc cośkolwiek ochłodzić, wstał z łóżka i udał się w miejsce, w którym okna otwarte były. Po chwilce ztamtąd wracając, gdy już był wszedł do swego pokoju, dostał mocnego zaćmienia w oczach i upadł bez zmysłów. Upadając, skaleczył sobie mocno nogę prawą, poniżéj kolana. Z rany, za świadectwem Simoniusa, dużo krwi upłynąć miało. Upadek króla przebudza pokojowca, który, gdy król po niejakim czasie przyszedł do siebie, tegoż z wielką trudnością na łóżko zaprowadził. Na zajutrz z rana (d. 8. Grudnia) zapisał Simonius królowi lekarstwo rozwalniające, ale w tak małéj dozie, że żadnego skutku niezrobiło. Król czuł się osłabionym i ciągle jeszcze ociężałym, z resztą jednakże dosyć był spokojnym i wesołym, niczego się tak bardzo nieobawiając, jak zapalenia rany, którą w czasie upadku otrzymał. Simonius nienauczony jeszcze wczorajszém smutném doświadczeniem, znowu królowi przy obiedzie dwa kieliszki wina wypić pozwolił. Ku wieczorowi powrócił Buccella ze wśi, a dowiedziawszy się od króla o wszystkiém, usilnie go prosił, aby się zupełnie od wina i od wody nawet cynamonowej (którą zwykł pijać, jeżeli wina sobie odmówić musiał) wstrzymał, a zamiast tego na zaspokojenie pragnienia, odwaru z szałwii używał. Łatwo każdy odgadnie, że lepiéj królowi do smaku przypadał sposób leczenia Simoniusza, niechciał więc w zupełności żądaniu Bucceli zadosyć uczynić, przyrzekł jednakże temuż, iż tylko z wodą pomieszanego wina za napój używać będzie. Zaraz potém udał się Buccella do Simoniusa dla zrobienia narady. Simonius oświadczył mu, że uważa chorobę króla za bardzo lekką, nazwał ją Syncope Asthmatica (nazwisko, które Buccela słusznie dzikiém nazywa) i utrzymywał, że odpoczynek dostatecznym będzie dla przywrócenia zdrowia królowi — Buccella z opisanych sobie symptomatów nazwał chorobę Epilepsią, bardzo niewłaściwie, jak to później okażę, osądził jednakże ogólny stan wybornie; i stósownie do tego oświadczył, że obecną króla chorobę wcale za tak małoznaczną nie uważa, zwłaszcza, że od lat sześciu, król sobie krwi nie puszczał, i zupełnie brania lekarstw rozwalniających zaniedbał, co jego krwistość nadzwyczajnie powiększyć mu-



Stefan Batory.

siało, a téj, przy skłonności króla do bicia krwi do głowy, bardzo się obawiać należało, zwłaszcza iż królewska twarz i łącznica oka mocno czerwieńszemi niż zwyczajnie były. Z tych więc powodów radził upuścić królowi krwi i dać potém mocniéjsze jakie rozwalniające lekarstwo, dla ściągnienia humorów od głowy, i zabronił mu zupełnie picia wina i wody cynamonowéj. Simonius ani słyszeć o tém wszystkiém niechciał, utrzymując, że puszczenie krwi, już przez to samo jest niepotrzebnem, że z rany znaczna ilość krwi uszła. Na słuszny zarzut Buccelli, że z rany zadanéj poniżéj kolana, w miéjscu, gdzie niema tak znacznych naczyń, nie mogło wiele krwi wypłynąć, że z resztą, gdyby nawet utrata krwi z rany miała być istotnie dosyć znaczną, to pojąć tego niemoże, jakimby sposobem zastąpić mogła puszczenie krwi, obecnie potrzebne, nic nieodpowiedział. Przystał jednakże na zapisanie lekarstwa rozwalniającego i zaostrzenie dyety. Rad nie rad i tem się już Buccella kontentować musiał, bo znając dobrze sposób myślenia królewski, wiedział, że zaledwoby w ówczas na krwi puszczenie zezwolił, gdyby obydwaj na to nalegali. Noc przepędził król spokojnie.

(Koniec nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)